

## Wstrząsy wtórne

Aleksandra Wojtaszek

Od ponad miesiąca wszystkie rozmowy w chorwackim regionie Banija zaczynają się tak samo – historią o tym, kto gdzie przebywał i co robił, kiedy trzęsło najmocniej. Mieszkańcy tamtejszych wsi i miasteczek pokazują mi ledwie zagojone siniaki po tym, jak fala uderzeniowa przewróciła ich na podłogę albo uderzyła nimi o ścianę. Potem zaczyna się obchód domu i pokazywanie pęknięć na ścianach, śladów po odpadniętym tynku, połamanych mebli. Na koniec zostaje podwórko: dziury w ziemi, muł i woda, które wydostały się przez powstałe szczeliny, wszechobecne błoto. To optymistyczny scenariusz – oznacza, że domownicy żyją, nie odnieśli poważnych obrażeń, w domu wciąż da się mieszkać, nic w obejściu nie grozi rychłym zawaleniem. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

To już drugie trzęsienie ziemi w Chorwacji w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Pierwsze wydarzyło się na początku lockdownu, a epicentrum była stolica kraju. O szóstej rano 22 marca 2020 roku Zagrzebiem wstrząsnęła fala o sile 5,5 stopnia w skali Richtera. Zginęły dwie osoby, a wiele budynków w centrum miasta uległo zniszczeniu. To wtedy Chorwaci stali się po raz pierwszy specjalistami od uskoków, płyt tektonicznych i fal powierzchniowych, a prawdziwi sejsmolodzy zaczęli nagle gościć w mediach i tłumaczyć, w jaki sposób należy się zachować podczas trzęsienia ziemi i dlaczego następujące przez kolejne dni mikrowstrząsy są zupełnie normalnym zjawiskiem. Nikt jednak nie przewidział, że zgromadzona wówczas wiedza okaże się potrzebna tak szybko.

Tuż przed Nowym Rokiem Chorwację nawiedziła kolejna seria wstrząsów, silniejszych niż w marcu – sejsmometry zanotowały, że największy z nich osiągnął magnitudę 6,4 stopnia w skali Richtera albo VIII w skali Mercallego, co oznacza rozległe zniszczenia, powstawanie szczelin i osuwisk w ziemi. Epicentrum był tym razem region położony przy granicy z Bośnią, nazywany Baniją lub Banoviną, choć wstrząsy czuć było aż w położonym 400 kilometrów dalej

Belgradzie. Trzęsienie ziemi zburzyło mniej więcej połowę miasteczka Petrinja, niemal doszczętnie zniszczyło kilka okolicznych wsi, zabijając przy tym siedem osób, a tysiące pozostawiając bez dachu nad głową.

– Jednej rzeczy zupełnie się nie spodziewaliśmy – opowiada studentka Klara Burić, która była wówczas w położonej blisko epicentrum miejscowości Gora. – Po zagrzebskim trzęsieniu nauczyliśmy się, że po najsilniejszym wstrząsie przychodzi zwykle seria mniejszych. Tymczasem dzień po pierwszym silnym wstrząsie, kiedy zaczęłam odkurzać fragmenty farby i tynku, które odpadły ze ściany, nagle cały dom zaczął się trząść i falować jak statek. Nie dało się ustać na nogach, rzucało nami na wszystkie strony.

Aby jednak w pełni zdać sobie sprawę z rozmiarów szkód, jakie wywołał kataklizm, trzeba przyrzeć się historii i współczesności Baniji, jednego z najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych regionów Chorwacji.

Hrvatska Kostajnica to miasteczko położone nad malowniczą rzeką Uną, wyznaczającą granicę z Bośnią. Gdyby nie pandemia, wystarczyłoby przekroczyć most, żeby znaleźć się w kraju, w którym większość produktów kosztuje o połowę mniej, teraz jednak oznacza to konieczność dziesięciodniowej kwarantanny po powrocie. W Kostajnicy mieszka Daniel Pavlić, aktywista, reżyser i dziennikarz freelancer. W 2019 roku nakręcił film dokumentalny zatytułowany *Szanowna Pani Prezydent*. Osią obrazu jest pisany przez niego list, zaadresowany do ówczesnej prezydent Kolindy Grabar-Kitarović, która w swoich przemówieniach podkreślała potrzebę zjednoczenia wszystkich mieszkańców, porzucenia podziałów i wspólnego budowania dobrobytu. Pavlić w dokumencie zwraca uwagę na liczne problemy regionu – nepotyzm, niewielkie możliwości znalezienia zatrudnienia, brak oferty kulturalnej, postępujące wyludnianie, deficyt pomocy i zainteresowania ze strony państwa.

– Baniji pomoc była pilnie potrzebna i przed trzęsieniem ziemi – tłumaczy mi. – Być może teraz wreszcie ktoś zacznie to dostrzegać.

Stopień zaniedbania regionu ilustruje faktem, że w Glinie niemiecka ekipa filmowa kilka miesięcy temu kręciła postapokaliptyczny serial *Plemiona Europy*. W wioskach jest jeszcze

gorzej, wielu ludzi żyje na poziomie minimum egzystencji. Kiedy przez nie przejeżdżam, trudno powiedzieć, czy opłakany stan domów to efekt trzęsienia ziemi, wojny czy po prostu starości. Państwo przez ostatnie trzydzieści lat zupełnie o nas zapomniało – mówią miejscowi. Teraz znowu się spóźnia, ponad miesiąc po kataklizmie do wielu miejsc wciąż nie dotarła pomoc państwa ani takich organizacji jak Chorwacki Czerwony Krzyż.

Świadomi ryzyka niewydolności systemu, Chorwaci od razu zaczęli na własną rękę organizować pomoc dla ofiar. Wielu ludzi ruszyło w teren samochodami załadowanymi po brzegi jedzeniem, kocami, przyborami higienicznymi. Inni oferowali noclegi w swoich domach, prywatni darczyńcy dostarczali przyczepy kempingowe, w których umieszczane były rodziny, pozbawione dachu nad głową z dnia na dzień, w środku zimy.

– Byliśmy zorganizowani w kilkusobowe ekipy – opowiada mi Krešimir, historyk mieszkający w Zagrzebiu. – W każdej grupie był znający się na rzeczy fachowiec i kilka osób do podawania dachówek, wykonywania łatwiejszych prac fizycznych. W ten sposób udało nam się zabezpieczyć sporo dachów.

Podczas gdy zwykli ludzie rzucili się do pomocy, państwo, zdaniem poszkodowanych, działało stanowczo zbyt opieszale. Samo ustanowienie sztabu odpowiedzialnego za usuwanie skutków kataklizmu zajęło rządowi prawie tydzień. Moi rozmówcy nieustannie przywołują przykład Japonii, w której usuwanie ogromnych zniszczeń trwało kilka dni, podczas gdy w Chorwacji nadal nie rozpoczęto nawet rozmów o ewentualnej odbudowie centrum miast czy budynków mieszkalnych. Wciąż jeszcze nie wszystkie rodziny otrzymały kontenery mieszkalne, w których mogłyby się schronić.

– Mieszkamy obecnie z mężem i córkami w Karlovcu – opowiada Marija z Petrinji, której dom nie nadaje się do dalszego zamieszkania. – Zorganizowaliśmy sobie mieszkanie na własną rękę, od państwa dostaliśmy na razie tylko jednorazową pomoc w wysokości 3800 kun (ok. 500 euro). Kontener nie wchodzi w grę, nie mamy podwórka, żeby go postawić. Rząd mówi, że za dwa tygodnie mogłoby powstać osiedle kontenerów, ale średnio w to wierzę. Najgorsza jest niepewność, od marca córki zaczynają zajęcia stacjonarne w szkole, a ja wciąż nie wiem, co z nami będzie.

– Potrzebna jest systemowa pomoc – potwierdza Daniel Pavlić. – Ostatnio spadł śnieg i był spory mróz, więc z wolontariuszami z miejscowej OSP podróżowaliśmy po wsiach i dostarczaliśmy grzejniki, aby ludzie mogli ogrzać swoje przyczepy czy kontenery. Boją się jednak wyższych opłat za prąd, dla nich te kilkadziesiąt czy kilkaset kun to może być sprawa życia i śmierci.

Domy na terenach, które ucierpiały w trzęsieniu ziemi, przeglądają inspektorzy, oceniając, czy nadają się do dalszego zamieszkania. Zielona nalepka oznacza brak poważniejszych szkód, w przypadku żółtej należy niezwłocznie dokonać niezbędnych napraw, czerwona zabrania dalszego zamieszkiwania budynku. Naklejki szybko stały się kością niezgody. Wielu boi się, że czerwona nalepka zmusi ich do opuszczenia domu, w którym pozostają pomimo ewidentnego ryzyka. Z różnych powodów nie chcą go jednak opuszczać – najczęstszym są zwierzęta. W tym przede wszystkim rolniczym regionie większość mieszkańców posiada *blago* (skarb), jak określa się krowy, świnie, kozy czy konie. Nie mogą ich pozostawić na pastwę losu ani zabrać ze sobą na przykład do mniej pechowych krewnych.

Czasem jednak to zielona nalepka bywa powodem gniewu. Taki los spotkał Dušana Golubovca ze wsi Zrin. To część Chorwacji, do której, jak mówi, politycy nie docierają nawet przed wyborami. Niełatwo tam dojechać po krętej, dziurawej i błotnistej drodze. Dom Dušana, a właściwie drewniana, zmurszała chata, chyli się ku upadkowi. Tylko w jednym pomieszczeniu panuje normalna temperatura, pozostałe są nieogrzewane. Przez wielkie dziury w ścianach świszczy lodowaty wiatr, choć dom, w którym trzydziestolatek mieszka ze swoją świeżo poślubioną dwudziestodwuletnią żoną, przedstawiał obraz nędzy już przed trzęsieniem). Dostali jednak zieloną naklejkę, co oznacza, że na żadne dofinansowanie ani pomoc nie mogą liczyć.

– Ten inspektor chyba celowo się z nas wyśmiewał. – Dušan nerwowo pociera głowę. – Powiedział mi, żebym zatkał dziury błotem i mchem i wszystko będzie w porządku. Podobnie mojemu bratu, który ma dwoje dzieci i trzecie w drodze, narysował, w jaki sposób ma drewnianymi balami podeprzeć dom, żeby się nie zawalił.

Brat Dušana dostał jednak kontener, w którym w nieopisanej ciasnocie mieszka teraz z całą rodziną. Dobrzy ludzie podarowali też Dušanowi i jego żonie przyczepę kempingową, ale chwilowo mieszka tam ojciec chłopaka, który przebywał w jeszcze gorszych warunkach, bez wody i prądu.

Dušan i jego rodzina nie mieli łatwego życia. Wieś Zrin, niegdyś dumna siedziba jednej z dwóch najbardziej znanych magnackich rodzin chorwackich, zamieszkała jest dziś przez kilkunastu chorwackich Serbów. Po tym jak siły chorwackie odbiły te tereny w 1995 roku spod władzy tzw. Republiki Serbskiej Krajiny, serbscy mieszkańcy uciekli lub zostali wysiedleni. Wielu z nich nie miało jednak czego szukać w Serbii i po kilku latach powróciło w swoje rodzinne strony.

Dušan obrabia pole i hoduje zwierzęta, trudno mu jednak wiązać koniec z końcem. Postanowił wyjechać do Niemiec, ale tam było jeszcze gorzej. Pracował u pewnego Serba, który nie przejmował się niemieckimi regulacjami dotyczącymi czasu pracy, a kiedy nie pracował, czas spędzał w piwnicy, w której był zakwaterowany. Zdecydował się wrócić i spróbować szczęścia na rodzinnej ziemi. W 2019 roku zgłosił się do telewizyjnego show *Ljubav je na selu* (odpowiednika polskiego *Rolnik szuka żony*) argumentując, że trudno poznać kogokolwiek mieszkając w oddalonej od świata wiosce. Uczestniczki programu nie były jednak zachwycone panującą w jego domu i gospodarstwie biedą, szybko stał się obiektem drwin. Jego żona pochodzi z pobliskiej Bośni, poznali się przez internet. Ana nie zabiera głosu w rozmowie, na moje pytania odpowiada cicho i zwięźle. Nie udaje mi się jednak opuścić ich skromnego domu bez spróbowania własnoręcznie przygotowywanej kielbasy, ogórków kiszonych i świeżo pieczonych, pysznych *uštipków* (słonego pieczywa z ciasta drożdżowego).

Niedaleko chaty Dušana stoi świeżo wybudowany kościół katolicki. Nie ma ani jednego parafianina, wszyscy we wsi są prawosławni. Otwierany jest tylko raz do roku, na święto tzw. Małej Matki Boskiej, czyli Narodzenia Maryi, 8 września. Bardziej niż o religię chodzi jednak o politykę – wówczas zdążają tu chorwaccy nacjonaści, aby upamiętnić tutejsze ofiary wojny. Titowscy partyzanci 9 września 1943 roku napadli na ustaszy – żołnierzy i zwolenników faszystowskiego, współpracującego z Hitlerem Niezależnego Państwa Chorwackiego. Podczas

rocznic policja chroni mieszkającego najbliżej kościoła Dušana. Choć nie ma on nic wspólnego z tamtymi wydarzeniami, jako Serb mógłby narazić się na nieprzyjemności ze strony chorwackich „patriotów”.

O problemach związanych z różnorodnością etniczną Baniji rozmawiałam także z Danielem – to temat, którego trudno tutaj uniknąć.

– Te ciągłe podziały doprowadzają mnie do szału – wściekał się. – Chyba potrzebne byłoby jeszcze jedno solidne trzęsienie, może wtedy do ludzi coś by dotarło. Ostatnio ktoś obrażał moją matkę, wypominając jej, że pomagam Serbom zamiast Chorwatom. Pomagam tym, którzy akurat najbardziej potrzebują pomocy. Dla niektórych wojna nigdy się nie skończyła.

Sam nie dzieli ludzi według narodowości. Jest dzieckiem katolika Chorwata i mużułmanki Boszniaczki, a jego żona pochodzi z Rosji. W wojnie zmuszony był jednak uczestniczyć, głównie ze względu na panującą w domu biedę. Twierdzi jednak, że trzęsienie ziemi było dla niego bardziej traumatyczne niż konieczność przetrwania na froncie.

– Tam przynajmniej niebezpieczeństwo jest jasne, wiadomo, z której strony może nadlecieć pocisk. Jeśli jesteś cywilem, możesz schować się do piwnicy. Przy trzęsieniu ziemi nie ma ucieczki, nie wiadomo co robić, gdzie biec.

Jadę do miejscowości Majske Poljane, najbardziej zniszczonej w wyniku kataklizmu wioski położonej kilka kilometrów od Petrinji. Z większości domów i pomieszczeń gospodarczych zostały jedynie kupy gruzu, a śmierć poniosło aż pięć osób. Mieszkają tu zarówno Chorwaci, jak i Serbowie oraz Romowie, chociaż większość wsi na tych terenach zamieszkuje tylko jedna grupa etniczna. W orientacji pomagają flagi – jeśli na każdym domu wisi ogromna chorwacka flaga, nie ma zbyt wielu wątpliwości. Ich brak też jest jasnym sygnałem. Jak wiele tutejszych miejscowości, Majske Poljane ma dramatyczną historię czystek

etnicznych – w sierpniu 1941 roku ustasze zabili tutaj 1564 Serbów zamieszkujących wioskę. Z wszystkich mieszkańców przeżył tylko jeden.

Choć początkowo wioska wydaje mi się opuszczona, po chwili zauważam dzieci biegające w kaloszach po błocie i dorosłych dobudowujących altany do otrzymanych kontenerów. Po miesiącu przyzwyczajają się do tej bardzo dziwnej rzeczywistości. I tak nie ma szans na szybką zmianę sytuacji, wzruszają ramionami. W wiosce spotykam też kilku przedsiębiorców z Zagrzebia, którzy przyjechali, aby obejrzeć jeden ze zburzonych domów i zasponsorować jego właścicielowi kontener albo chociaż przyczepę kempingową.

– W jaki sposób go znaleźliście? – pytam.

– Jego rodzina pochodzi z małego miasteczka w Bośni, nasze też, więc poczuliśmy potrzebę solidarności.

Tak przeważnie wygląda pomoc – jest chaotyczna, nieskoordynowana, wynika jedynie z dobroczynności konkretnych jednostek. Zwykli ludzie są rozczarowani nie tylko władzami lokalnymi i rządem, ale nawet takimi organizacjami jak Chorwacki Czerwony Krzyż, który nie ma w kraju dobrej reputacji już od czasu katastrofalnych powodzi w 2014 roku. Kontrola przeprowadzona przez państwowe instytucje w 2019 roku wykazała licznie nieprawidłowości w funkcjonowaniu organizacji. Także teraz wolontariusze pracujący w terenie zgłaszali, że Czerwony Krzyż nie docierał do potrzebujących na czas, pozostawiając ich bez jedzenia i wody. Rzeczniczka prasowa określa te zarzuty jako „dezinformację, która szkodzi wszystkim, ponieważ ludzie przestają ufać organizacjom pomocowym i wpłacać darowizny”.

Największy skandal, który wybuchł po katastrofie, dotyczy jednak powojennej odbudowy kraju. Wiele domów w Baniji zostało zniszczonych podczas wojny w latach dziewięćdziesiątych, a następnie odbudowanych przez państwo w latach 1995-2000. Zdaniem ekspertów, gdyby wszystkie remonty były wykonywane zgodnie ze sztuką budowlaną, część budynków nie zawaliłaby się przy takiej sile wstrząsów. Dopiero podczas analizy ruin wyszło na jaw, że w wielu przypadkach nie zastosowano odpowiedniego zbrojenia, nic dziwnego zatem, że budynki waliły się jak domki z kart. Odpowiedzialny za powojenną odbudowę na

tych terenach był obecny żupan (odpowiednik wojewody – przyp. A.W.), co dodatkowo politycznie komplikuje sytuację. Premier Chorwacji zapowiedział pilne śledztwo, tymczasem opozycja naciska, aby dotyczyło całej Chorwacji, nie tylko Baniji – w innych regionach korupcja związana z odbudową domów też może kosztować kogoś nie tylko dobytek, ale i życie.

O możliwościach i ograniczeniach systemowej pomocy rozmawiam z Branką Bakšić Mitić, wiceburmistrz Gliny, a także współzałożycielką i szefową inicjatywy „Ljudi za ljude” (Ludzie ludziom). Organizację założyła cztery lata temu w odpowiedzi na dramatyczne warunki panujące w regionie. Opowiada o wsiach, w których infrastruktura została zniszczona w trakcie i po wojnie – choć za czasów Jugosławii jej mieszkańcy mieli prąd i wodę, od lat dziewięćdziesiątych nikt się nie zatroszczył, aby ponownie założyć sieć elektryczną.

Od czasu trzęsienia ziemi inicjatywa działa bez przerwy. Jej członkowie zajmują się przede wszystkim organizowaniem zakwaterowania, dostarczyli już niemal dwieście w pełni wyposażonych kontenerów. Wszystko to dzięki darowiznom ludzi z Chorwacji i całego świata. Pytam, dlaczego jako polityczka nie może organizować pomocy na poziomie władz lokalnych, ale musi opierać się na poczuciu solidarności obywateli.

– Nie należę do żadnej partii – wzrusza ramionami. – To sprawia, że trudno mi doprosić się o jakiegokolwiek wsparcie ze strony urzędu miejskiego. Powiem tylko, że musiałam kupić na kredyt samochód do rozwożenia darów, bo miasto nie chciało mi pożyczyć swojego.

Podaje konkretne liczby. Wciąż ponad 50 osób nie ma dachu nad głową (rozmawialiśmy 4 lutego – przyp. A.W.), to dla nich priorytet. Jeden całkowicie wyposażony kontener kosztuje około 7 tysięcy euro, trzyosobowa rodzina mieści się w nim z trudem. Domy z prefabrykatów, w których ludzie mogliby zamieszkać na stałe, to już koszt między 20 a 25 tysięcy euro. To zdaniem Branki najlepsze rozwiązanie, gdyż, jak mówi, w tym tempie wielu ludzi nie doczeka chwili, kiedy ich domy zostaną odnowione albo ponownie zbudowane.

Inicjatywa łączy konkretne rodziny z darczyńcami. Jednym z nich jest spotkany przeze mnie w Glinie Dominik z Niemiec.



– Organizowaliśmy pomoc podczas wojny – mówi łamanym chorwackim. – Dlatego teraz przyjechałem zobaczyć, co mógłbym zrobić.

Choć niektórzy podkreślają, że dzięki trzęsieniu ziemi wreszcie zwrócono uwagę na ten najbardziej zapomniany i zaniedbany region Chorwacji, przyczyni się ono do i tak ogromnej depopulacji i zwiększenia poziomu ubóstwa Baniji. Sytuację podsumowuje na Facebooku zagrzebski dziennikarz Nikola Vukobratović:

– To prawda, że ludzie mają wielkie serca i włożyli ogrom trudu, aby pomóc ofiarom trzęsienia ziemi. Ale mają też spore ego, więc każdy, kto przyniósł farelkę albo siatkę chleba, ma wrażenie, że uratował świat (...). Jeśli jako społeczeństwo naprawdę jesteśmy solidarni, musimy to pokazać systemowym inwestowaniem w nierozwinięte obszary oraz ludzi, którzy próbują tam żyć. A zatem to przestrzenne i społeczne nierówności, a nie doraźna pomoc, są prawdziwym problemem